

John Fante zmaga się z katolicyzmem

Włoch w Ameryce kłóci się z Meksykanką o to, które z nich jest bardziej amerykańskie, któremu bliżej do ideału. Niedaleko jest pustynia, tytułowy pył i ulotność istnienia



Włoch w Ameryce kłóci się z Meksykanką o to, które z nich jest bardziej amerykańskie, któremu bliżej do ideału. Niedaleko jest pustynia, tytułowy pył i ulotność istnienia.

To wszystko w „Pyle”, powieści Johna Fantego, zamerykanizowanego Włocha, jednego z idoli beatników. Nie jestem beatnikiem, ale do sięgnięcia po Fantego zachęciła mnie lektura tekstu Allena Barry. Napisał on, że Fante rymuje się z Dante. Jak dla mnie, wystarczy.

Nie to, żebym się spodziewał napisania w XX wieku czegoś na miarę „Boskiej komedii”. O, nie, bluźniercą nie jestem. Chociaż jak czytam, że Fante zmagał się z katolicyzmem, to sobie myślę, że gdyby Dante żył w

XX wieku, to też by o nim powiedziano, że zмагаł się z katolicyzmem. Któż się nie zмагаł?

Oczywiście zмагаć się można na różne sposoby. Z katolicyzmem można zмагаć się po katolicku właśnie, jak u Dantego. Lub nie po katolicku, jak u Fantego. Po katolicku czy nie, przedmiot zmagania ten sam – tak jak ten sam pozostaje katolicyzm, ten sam człowiek i przede wszystkim, ten sam Bóg. Jakbyśmy sobie nie wyobrażali Boga, człowieka i katolicyzmu, a wyobrażać przecież możemy sobie na milion sposobów, to sama rzeczywistość pozostaje niezmienna. I jest niezmiennosc równie słodka, co gorzka.

Więc idę tym tropem i szukam katolicyzmu w powieści. Szukanie katolicyzmu w książkach to sprawa nader trudna, zwłaszcza, że z katolicyzmem – jak już napisałem – trzeba się zмагаć. W dodatku literatura polska w zmagania z katolicyzmem nie obfituje. W ogóle – poza kilkoma znakomitymi pisarzami - katolicyzmu za dużo w niej nie ma. Taki urok. Zmagania uczymy się na literaturze obcej i sięgamy choćby po Dantego lub Fantego,

A zatem poszukujemy przedmiotu zmagania, a nie tylko ich oprawy, tych powierzchownych bluźnierstw i nawróceń. Bo można oczywiście się skupiać na tym, czy więcej tu aktów strzelistych czy przekleństw pod adresem Stwórcy, ale to wszystko będzie tylko powierzchnią, będzie reakcją na rzeczywistość, a nie nią samą. Żeby poszukać przedmiotu zmagania, nie można też zatrzymywać się na ludzkich przeżyciach, odczuciach i wrażeniach – te są także wtórne. Żeby dotrzeć do sedna, należy odkryć metafizykę.

To od metafizyki, na której zbudowany jest świat przedstawiony powieści, zależy, czy mamy do czynienia ze zmaganiem się z katolicyzmem czy też nie. To zmaganie pojawia się wtedy, gdy autor pokaże nam świat i zapyta, czy widzimy tę sama rzeczywistość i czy jest w niej miejsce na Boga.

I pozornie w świecie Fantego miejsca dla Boga nie ma. Jest Los Angeles, miasto puste, mikroobraz wielkiej pustki, która pozostaje zawsze w tle, pustyni właśnie – tam udaje się jeden z bohaterów, aby umierać i tam odchodzi miłość Artura Bandiniego, głównego bohatera książki. Od tej pustki nie można uciec, miłość, choć piękna i intensywna, tam także się ulatnia, nagle, ale w sposób spodziewany. A przynajmniej spodziewany przez tych, którzy uświadomili sobie, że to wszystko, nie tylko sama pustynia, jest pyłem. Wszelka intensywność jest tylko pozorem, jest jak ciężka góra piasku, złożona z małych ziaren, które uniosą się i wzbiją w powietrze, gdy tylko zawieje mocniejszy wiatr.

I tylko wydaje się nam, że to refren starego „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”, bo żeby nadać takiej wizji katolicki wymiar, trzeba wprowadzić nadzieję. A tej Fante zdaje się nie dostrzegać. Czyżby więc się zmagał, ale z tego zmagania wychodził przegrany, jak każdy kto zwątpił?

Bandini wprawdzie wznosi gorące modły, gdy widzi i gdy doświadcza trzęsienia ziemi, i zmienia się także, i posyła pieniądze matce, i zaczyna kierować się troską. Ale czy jest w tym coś więcej niż zwykła ludzka reakcja, prawie zwierzęcy odruch na niepewny i tragiczny los?

Ale jednak jest tam i Bóg, i nadzieja. Bogiem okazuje się autor, Arturo Bandini, który to wszystko ułożył i zadedykował. Bez Boga i bez nadziei nie byłoby tej opowieści i dedykacji. Niby mały to bóg i pokraczny, taki na ludzką modłę. Ale – z drugiej strony – jeśli ktoś rozumie, że można opowiedzieć historię i nadać jej dedykację, a potem powie, że to opowieść prawdziwa i dedykacja szczerza – a więc czy ktoś taki nie stara się nam powiedzieć, że także za tym realnym i już wcale nieksiążkowym pyłem stoi historia, z początkiem i końcem, i dedykacją?

Mateusz Matyszkowicz